



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Ks. Clarence.

List Józia.

Kochani moi czytelnicy wiedzą zapewne, że podczas wakacji, bawiłem jakiś czas w Anglii; dla tego też obeszła mnie śmierć najstarszego wnuka królowej, ks. Klarency, serdecznie odczuta przez cały naród angielski. Na wieść o żałobie, która dotknęła dom panujący, posypały się zewsząd adresy z wyrazami najgorętszego współczucia; złożyła je również prasa, a pisma ilustrowane pełne są rycin przedstawiających zmarłego księcia we wszystkich porach życia. Obiecywało być tak szczęśliwym i świetnym, królewską przyrzekało mu godność, a skończyło się trumną tak wcześnie—i to wtedy właśnie kiedy nie-

długo już poprowadzić miał ks. Jerzy do ołtarza młodą narzeczoną i krewną, księżniczkę Teck, której imię Marya wyszło *May* w ładnie brzmiącym zdrobieniu angielskim.

Mam właśnie przed sobą ryciny przerobione z fotografii, a przedstawiające oboje narzeczonych w latach dziecińczych: ona z rozpuszczonymi na ramiona włosami, on w kurteczce i wykładanym kołnierzyku, z miną prawdziwego jeszcze dziecka. Inna znowu rycina wyobraża małego księcia Alberta-Wiktora w szkockim stroju: w kraciastej spódnicy nie sięgającej kolan, w kraciastych pończochach także kolan nie zakrywających, siedzi sobie smętnie jakoś zadumany i podłużnie oprawni oczyma, które odziedziczył po matce, patrzy przed siebie. Daleko weselej i raźniej, rzekłbym, wygląda w marynarskim mundurze, który nosił przez cały czas pobytu na wojennym okręcie „*Buchantka*”, gdzie obaj młodzi książęta uczyli się pełnić służbę okrętową, przez cały czas podróży około świata. Ze im nie pobbazano, że nie wolno było młodym książętom uchylać się od żadnej pracy, tego dowodzi zdjęta z nich fotografia w chwili, gdy obaj w zawiązanych pod szyją fartuchach, plotą liny okrętowe pod czujnym okiem nachylonego nad nimi starego marynarza. Ach! jak ja im tego zazdroszczę! cały późniejszy pobyt w Cambridge, gdzie oprócz nauki jest też niemało czasu na rozrywki sprzyjające wyrobieniu zręczności i siły, podróż do Indyj południowych, polowania i różne inne rozrywki, wszystko nic w porównaniu z ową szkołą okrętową! Nic dla mnie nie ma takiego powabu jak morze i gdybym się był urodził w jakim kraju nadmorskim, jużym z pewnością oddawna drapał się po masztach i spał po linach, zamiast z torni-strem na plecach maszerować co rano do klasy. Cóż robić! minąłem się widać z mojem powołaniem — ale że mama zawsze nam powtarza: „czego odmienić nie można, to znieść potrzeba” więc też staram się w czyn wprowadzić to prawdziwo. Ks. Albert także, o ile wicm, niewielką miał ochotę

poddawać się rygorowi uniwersyteckiemu—wcale podobno nieuciążliwemu, a jednak dał się przekonać, że dla samego przykładu czynić to powinien i od tej pory władza uniwersytecka nic mu już nie miała do zarzucenia. Wyszedłszy z Cambridge służył, ma się rozumieć w wojsku, w pułku świetnie strojnych, od złota kapiących huzarów i wzorowym miał być służbistą. Widziałem go tego roku w Windsorze: młody, przystojny, może trochę szczupły, ale nie chorowito wyglądający, jechał na pysznym karym koniu, który przebierał nóżkami, jak panna w tańcu — i w ogromnej bermycy z kitą wyglądał pokaźnie i dziarsko. To też w głowie mi się pomieścić nie może, że umarł. Zakończył życie w wiejskiej rezydencji księcia Walii, w Sandringham, a dębowa trumna z jego zwłokami stała w tym samym kościółku, gdzie modlił się dzieckiem będąc, otoczona tymi samymi wieśniakami, którzy go znali od małego. Gazety piszą, że wzruszający był widok licznej, w żalobę przyodzianej gromady wiejskich ludzi, którzy w głębokim smutku towarzyszyli przenoszeniu zwłok na kolej. W Londynie grzebano go z uroczystością należną jego stanowisku domniemanego następcy tronu; tu, w Sandringham żegnali go sami swoi: rodzina, domownicy, służba, współmieszkańcy wioskowi — wszyscy żegnali z żalem tego, który zgasł tak młodo i zabrał z sobą do grobu tyle nadziei. Czarno ubranym tłumem roily się ulice miasta, strzały armatnie wstrząsały mglistem, przejmująco zimem powietrzem, dzwony w kościele Św. Jerzego grały biciem żalobnem, gdy od stacy sunęła powoli, zmierzając do kaplicy Windsorskiej laweta, ostatnie łoże żołnierskie, na której wieziono trumnę wieńcami kwiatów okrytą. Złożono ją w kaplicy, gdzie stoją już sarkofagi księcia „consort'a”, to jest męża królowej Wiktorji, oraz ks. Albany, jednego z jej synów i... skończyło się wszystko! Skończyło się wtedy właśnie, kiedy po ludzku rzeczy biorąc, zdawać się mogło, że wszystkiemu dopiero początek... Członków rodziny panującej angielskiej łączy wielka miłość wzajemna, której objawów nie krępuje etykieta; dzieci i wnuki królowej tak swobodne są w obejściu z nią, jakby ona była zwyczajną, kochającą, chociaż nieraz strofującą surowo matką rodziny. To też cios jaki ich dotknął, odczuli wszyscy głęboko, i pięknie to powiedziało jedno z pism ilustrowanych, że „w obec świeżej boleści wyrazy współczucia narodu wydają się czczemi tylko słowy”; później dopiero osieroczone serca znajdować w nich będą pociechę.

Pod smutnem wrażeniem pisałem cały list niniejszy, zwrócony głównie do młodszych i starszych kolegów; sądziłem bowiem, że zajmą ich wiadomości o młodzieńcu który jeszcze niedawno siedział na szkolnej ławie, a zasiąść się spodziewał na tronie. List mój przyszły postaram się uczynić wesejszym i umieścić w nim coś, coby specjalnie zajęło i czytelniczki Wieczorów; a ponieważ mam aż dwie siostry (obie chcą przewodzić nademną) może więc potrafię to uczynić.

Józio.

BIAŁE LILIE.

Białe lilie po księżycu
 Jak królowy śnią;
 Srebrne rosy na ich licu
 Polyskują — drżą...
 Wietrzyk niesie tony fletni
 Wtór do marzeń, snów...

Białe lilie, wieczór letni,
 To piosnka bez słów.

* * *

Lubię lilie, bo mi one
 Każą wierzyć w świat,
 W serca czyste, niezmacone,
 W świeżych uczu kwiat;
 W nieskałaność, w poświęcenie,
 W ideałów moc —
 Każą zwalczać zwątpień cienie,
 I niewiary noc.

* * *

Wierzę mocno, że na świecie
 Pośród złego rdzy,
 Szlachetności, dobra kwiecie
 W sercu ludzkim tkwi;
 Wierzę w czucia wzniosłe, stałe,
 Niezmiennie jak gład,
 Dusze zacne — lilie białe
 Kocham, lubię was...

Mir.

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. JMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Widok ten zmieniał się co chwila, pojedyncze szczyty zaostrzały się, rosły, pochłaniając nowe masy, rozszczepiały się... prostopadłe szkarpy niedostrzegalnym ruchem przeobrażały się w łagodne stoki; na przełęczach powstawały niebotyczne igły, i chwiejąc się, wsiąkały powoli w szeroko rozsiadłych węzłowskich.

Słońce, przeciskając się mozolnie pomiędzy mglistymi wierzchołkami, rozżarzało je, zamieniało w zionące ogniem i złotą lawą wulkany; promienie jego, odbite od najwyższych cyplów ku dołowi, napełniały subtelnym pyłem świetlnym wnętrza dolin, wdzierały się w głębokie zapadliska, różowiły zlekka wółprzezroczyście opary osłaniające stoki i zalewały ciemną purpurą zakątki jaskiń, wydrążonych w przeciągu kilku minut niewidzialną ręką. Powoli jednak olbrzymie szczyty łańcucha wzgórz zrastały się ponad aerostatem, tworząc srebrne sklepienie na którym słońce malowało cudowne freski. Wymukłe cyple przeobrażały się w powienne kolumny, podpierające ciemny firmament; spadki wyglądały się, przybierały pionowe położenie; spodnia warstwa obłoków tężała, krzepła, zbijała się w jednolitą marmurową masę; szpary, przez które miejscami przeglądał ocean, zrastały się... i wreszcie wszystkie te góry zlały się w imponującą świątynię, jakąś wielką jak świat budowlę, której wnętrzu kapowało złotem, srebrem i purpurą.

Balon wisiał w pośrodku niej nieruchomy, rzucając na przeciwległą słońcu ścianę olbrzymi cień, okolony świetlaną aureolą.

James uniesiony tym widokiem, klaskał w ręce; Ford, oparty o poręcz łódki, przypatrywał się w milczeniu, przejęty uwielbieniem. Nawet Gromski, który nieraz miał sposobność widzieć te cuda, był niemi zachwycony.

— To wspaniałe, nieporównane! — powtarzał z przejęciem — nieprawdaż, kapitanie?

— Jesteśmy w jakimś czarodziejskim świecie, o pięknie którego nikt na ziemi nie ma pojęcia. Ach, jakże żałuję, że nie umiem malować!

— Przydałaby się tu fotografia kolorowa; skoro ją wynajdę, ocean powietrzny dostarczy nieskończonej ilości tematów naszym artystom. Dziwię się, że dotąd tak mało zwrócili

oni uwagi na cudowne obrazy, dające się widzieć z łódki balonu.

— Co za rozmaitość! Patrz pan!

I Gromski wskazał palcem na obłok, który oddzieliwszy się od jednej ze ścian, bujał w przestrzeni, przypominając kształtami olbrzymiego latającego smoka; w chwilę potem zamienił się on w pająka, i zasnuwszy niezmierną pajęczyną sklepienie, znikł gdzieś pomiędzy mglistymi kolumnami.

Jeszcze nasi żeglarze nie zdążyli rozejrzeć się po tym gmachu z obłoków, a już miejsce jego zajęła ponura jaskinia, zaludniona bajecznymi jakimiś istotami i potworami, które jak mary, snuły się w półmroku.

Opuszczające się ku horyzontowi słońce, zalewało wnętrze tej jaskini potokami rubinowego światła, podczas gdy dno jej tonęło powoli w ciemności.

W kwadrans potem ocean znikł całkiem poza nieprzenikloną fioletową oponą sklepienie fantastycznej grotty gorzało długo jeszcze potem, o godzinie 9-tej zgasło jednak i ono. Noc ogarnęła tę nieskończoną przestrzeń; tarcza słoneczna, niewidzialna już z powierzchni oceanu, rzuciła ostatnie blaski z pod horyzontu. Nasi żeglarze onieśmieleni zbliżającymi się ciemnościami, niespokojnie spoglądali po sobie.

Zdaje mi się, że opadamy — rzekł Ford, rzucając okiem na barometr; — jesteśmy wzniesieni tylko na 3600 metrów.

— Spodziewałem się tego — odparł Gromski; — promienie słońca nie ogrzewają już aerostatu, gaz więc kurczy się. Powinniśmy jednak zatrzymać się na wysokości 3500 metrów; dziwi mię tylko, że termometr wskazuje jeszcze 18 stopni.

— Czy będziemy czuwali przez całą, noc inżynierze?

— A to po co, kochany kapitanie? połóż się i śpij najspokojniej; ja zajmę miejsce w naszej jadalni około barometru i także zdrzemnę się trochę. Balonowi nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo, zaręczam panu.

— A gdyby się zerwała burza?

— To i cóż? Nie poczujemy nawet, że huragan nas unosi; coprawda, piorun mógłby zapalić gaz w balonie, rzadko wszakże w tej szerokości geograficznej przytrafiają się nawalnie z błyskawicami. Nie spadniemy również, gdyż aerostat stale utrzymuje się na jednej wysokości. Zresztą poprosimy Jamesa, aby dawał baczenie na barometr. No, dobranoc panu; powinienes spać tutaj daleko lepiej, aniżeli w kajucie okrętowej, lub w pociągu. Jest teraz wpół do dziesiątej, masz pan zatem do wschodu słońca sześć godzin czasu.

I Gromski rozkazawszy sternikowi, aby go zbudził o 4-tej, to jest mniej więcej o świcie, rozciągnął się wygodnie na kocu, a w dziesięć minut potem usnął tak spokojnie, jak gdyby znajdował się w swej willi pod Chicago. Ford po krótkim namysle poszedł za jego przykładem.

VII.

WSCHÓD SŁOŃCA O PÓLNOCY.

James postanowił jaknajgodniej odpowiedzieć zaufaniu, jakie pokładali w nim towarzysze. Ponieważ inżynier kazał czuwać nad tem, żeby aerostat nie opadał, przeto sternik, usadowiwszy się przy barometrze, nie spuszczał z niego oka.

Dzielny marynarz czuł pewien niepokój na myśl, że bezpieczeństwo balonu zależy od jego czujności. Z początku zdawało mu się, że daleko łatwiej jest obsłużyć statek powietrzny, aniżeli zwykły parowiec — prędko jednak przekonanie to znikło; James w końcu począł wątpić, czy radę sobie dać potrafi w razie potrzeby. Zastanawiał się więc w myśli, jakie niebezpieczeństwa mogą grozić balonowi.

Najprzód upadek — ale tego nie miał się czego obawiać; gdyż barometr wskazywał ciągle 3200 metrów, i wcale się nie podnosił; czyste zupełnie niebo zwiastowało piękną pogodę.

Aerostat płynąc w otwartej przestrzeni, nie był narażony na potrącenie o żadną górę.

Pomimo to jednak, stary marynarz wychylał się co chwila za poręcz i podejrzliwie zagłębiał wzrok w pustą przestrzeń. Dziwnie czuł się usposobionym wobec martwej, niczem niezmaczonej ciszy, która zalegała dokoła. Na okręcie siedząc u steru, słyszał zwykle łoskot maszyny, trzeszczenie wiązań, skrzyp masztów, poświst wiatru w linach i szum fal; tutaj nic, zupełnie nic.

Zdawało się, że balon zawieszony jest gdzieś o tysiące mil od ziemi, wpośród otaczających go gwiazd. Ten spokój pozory drażnił Jamesa; zacny marynarz począł niebawem serdecznie przeklinać podobny rodzaj żeglugi, w której całą jego wiedza i doświadczenie na nic zdać się nie mogły.

— Tfu — mrucał; — kompas nie wskazuje, ster nie potrzebny, a niewiadomo dokąd i jak się jedzie. Hm, pytanie jeszcze, czy nie stoimy w miejscu; lichy to raczy wiedzieć. No, mniejsza zresztą o kierunek w płaszczyźnie horyzontalnej, byle nie spaść!

Zaledwie jednak James wymówił półgłosem te słowa, kiedy z pod łódki wynurzyły się nagle dwa obłoczki i wymiłowawszy ją, uciekły szybko ku górze; zjawisko to sternik zauważył już podczas zniżania się balonu, to też zaniepokoiło go ono wielce. Niepokój ten przeszedł w trwogę, kiedy w ślad za pierwszymi chmurkami, ukazało się kilkanaście innych; ruch ich nie pozwalał wątpić, iż aerostat opada gwałtownie; barometr jednak wskazywał ciągle 3200 metrów.

— Popsuty, czy co? — mruknął stary marynarz, potrząsając instrumentem.

I nie namyślając się, poskoczył ku przodowi łódki, gdzie leżały worki z piaskiem, pochwyił jeden z nich i wyrzucił w pustą przestrzeń.

Wróciwszy na swoje stanowisko, Dzems niespokojnie spojrział na barometr.

Wskazówka jednak posuwała się wyraźnie; z 3200 metrów przeskoczyła nagle na 3300 — potem wolniej przeszła na 3350 — 3400...

Równocześnie dał się uczuć lekki powiew wiatru ku dołowi.

Dziwna rzecz jednak! Obłoki ciągle wypływały z pod łódki.

Teraz zacny marynarz zrozumiał snąć swą pomyłkę, gdyż, podniósłszy pięść, wymierzył sobie potężny raz w czoło.

— Spisać się, jak dzieciak, dać się zwieść tak haniebnie. Czy to tak trudno było się domyśleć, że obłoki idą w górę, a balon pozostaje na jednej wysokości! Tfu!

Zdarzenie to odebrało Jamesowi resztę pewności siebie. Chciał zbudzić Gromskiego, ale obawa śmieszności powstrzymała go; po długim wahaniu postanowił poczekać do wschodu słońca, a tymczasem w zupełności zaufać barometrowi, który wskazywał 4100 metrów.

Usiadł więc na dawnym miejscu i obojętnie już spoglądał na mijające łódkę chmurki.

Niebawem wszakże inna okoliczność wprawiła w nowy kłopot Jamesa.

Zauważył, iż w przestrzeni poczynało się wyjaśniać: wschodnia strona nieba przybrała czerwonawą barwę; przy tym blasku wyraźnie widać było warstwę obłoków, leżącą nisko pod balonem.

— Księżyc zapewne wschodzi, — pomyślał James.

W pół godziny jednak potem, satelita ziemi nie ukazał się jeszcze na horyzoncie, a pomimo to zorza stawała się coraz żywszą.

(d. c. n.)

Gospoda dla pielgrzymów na górze Ś-go Bernarda.

Czytelnicy nasi słyszeli już o gospodzie dla pielgrzymów na pograniczu Włoch i Szwajcaryi, i o psach które dopomagają tak dzielnie ludziom pełnym poświęcenia i miłości bliźniego, do ratowania zbłąkanych, zagrożonych niechybną śmiercią wędrowców. Opis tej miejscowości, przez zwiedzającego ją obecnie podróżnika, maluje najlepiej dobroczynną działalność jej kierowników.

„Klasztor na górze Ś-go Bernarda w którym zbłąkani wędrowcy mają chroniącą ich od zguby gospodę — mówi tenże podróżnik — należy do jednego z kantonów szwajcarskich,



Balon wisiał w pośrodku nieruchomy ..

ale kolumnę odgraniczającą ją od Włoch ma przed oknami, a w rzeczywistości jest własnością wszystkich narodów i religij. Znużonych pielgrzymów dzwoniących do drzwi tego przytułku, nikt nie pyta czy chrześcijanami są, muzułmanami lub żydami—ale otwierają im bramy, ofiarują schronienie, ogień, żywność.

Jest to jedna z najgodniejszych uwielbienia instytucyj, rzeczywiście przez cnotę miłości bliźniego natchniona.

Trudnem jest życie na wysokości 2,620 metrów nad powierzchnią morza: stłumione, zakopane, otoczone grobowym milczeniem wśród tych pustyń śniegu, które więżą ogromnymi swymi szczytami, obciążając sennością, skutkiem wielkiego zimna. Powietrze tutaj jest dziwnie rozrzedzone, nawet wśród mocnych upałów noce są mroźne i wilgotne; płuca tutaj z trudnością oddychają, zawroty głowy częste, a blask nieznośny śniegu sprowadza chorobę oczów.

W chwili mego przybycia do gospody czyli Hospicium, zakonników było siedmiu; z tych najmłodszy miał lat 19 a najstarszy 30. Trzeba być młodym, silnym i zdrowym, aby wieść to pełne niebezpieczeństwa życie; prędko się wędnie

wśród ciągle ponawiających się trudów i wszelkiego rodzaju niedostatków. Zazwyczaj ceną tego przed niczem niecofającego się poświęcenia, są piersiowe choroby. Dotknięci niemi Ojcowie, spuszczaają się z tych wyżyn do macierzystego domu swego w Martigny, gdzie nawet balsamiczne i tak łagodne powietrze tych uroczych dolin, starganego zdrowia już powrócić im nie może.

Zabudowanie klasztoru tworzy podłużny czworokąt o dwóch piętrach. W razie potrzeby może pomieścić 60 do 80 podróżnych. Drugi budynek naprzeciwko stojący zawiera stajnie i składy, a w razie nagłym jeszcze i schronisko dla podróżnych, jeżeli ci nie mogą pomieścić się w Hospicium. Wewnątrz gmachu smutne robią wrażenie duże korytarze, ciemne, wilgotne, wapnem pobielone, z rzadkimi podwójnymi oknami. Nad każdymi drzwiami znaczący napis i numer: kościół, refektarz, biblioteka, pokoje dla podróżnych. Te ostatnie dobre są i stosunkowo bardzo odpowiednie; mój jest podłużny, z posadzką starannie froterowaną—czystość w nim nieposzlakowana. Łóżko doskonale z firankami, kanapa, stół, trzy krzeselka, jeden fotel, małe zwierciadło w drewnianych ramach i granitowy piec w środku pokoju z ogromnym ogniskiem, okna podwójne bardzo wąskie. Nie można tutaj dosyć się zabezpieczyć przed lodowatem z zewnątrz powietrzem. Przespałem tu dwie noce snem tak ciężkim, że nawet dzwony na jutrznię obudzić mię nie mogły.

Na dole jest wielka sala służąca za jadalnię dla podróżnych; duży komin ją ogrzewa. Są tutaj organy i fortepian. Na murach obraz przedstawiający rozesłanie Apostołów, inny wyobrażający Pana Jezusa kazającego i kilka innych jeszcze angielskich sztychów kolorowanych.

Biblioteka będąca na pierwszym piętrze, mieści ciekawe próbki miejscowej mineralogii i medale znalezione w miejscu, gdzie stała świątynia Jowisza wzniesiona na szczycie góry Joux, wprost dzisiejszego Hospicium-

Niektórzy podróżni pozostawili tutaj swoje dary, stanowiące dzisiaj bardzo dostateczną biblioteczkę dla zaskoczonych przez złą porę wędrowców.

Pewien Anglik podarował bardzo piękną elektryczną maszynę, wielką rozrywkę sprawiającą Ojcom, którzy mogą zbadać ilość otaczającej ich siły elektrycznej, rozpoznawać czas zbliżającej się burzy. Lecz raz na dwie minuty zostawiono jakiegoś gościa samego w bibliotece, a był to Francuz złośliwej natury; przewrócił do góry dnem maszynę i stłukł jej koło. Biedni Ojcowie pozbiali szczątki bez słowa wymówki.

Złośliwość ta była prawdziwym nieszczęściem dla małego konwentu, lecz zdaje się że maszyna została już naprawioną i Ojcowie mogą znów robić swoje spostrzeżenia,

Nie przestają oni na tem jednym doświadczeniu, gdyż codziennie trzy razy sprawdzają regularnie za pomocą barometrów stan atmosfery i kierunek wiatrów, a sprawdzenia z każdego miesiąca odsyłane są do Przeglądu genewskiego dla pożytku uczonego świata.

W bliskości biblioteki jest wejście na chór kościelny, skąd podróżni mogą słuchać mszy św. jeżeli im się podoba. Doskonały organ rozbrzmiewa poważnie swe melodie w tej okazałej kaplicy, dobrze oświetlonej i przyzdobionej we włoskim guście.

W rogu, po prawej stronie od wejścia, stoi przy murze biały marmurowy pomnik, poświęcony generałowi Desaix.

Przejsięcie Bonapartego żywe wrażenie pozostawiło na górze św. Bernarda; chętnie opowiadają o tem w klasztorze.

Reguła Ojców z góry św. Bernarda drobniawo opisuje ich życie; zapełniają je ćwiczenia duchowne, wycieczki w góry i starania około podróżnych. Ubiór ich jest bardzo prosty: czarna sutanna, biret kwadratowy. Zimową porą, gdy idą w góry w swej trudnej misji, odziani są w kaftan ciepły i krótki i w długie sukienne kamasze, a na głowie mają wełnianą czapkę. Szal około szyi i grube rękawice, dopełniają rynsztunku.

Podczas twardych dni zimowych, gdy barometr spada częstokroć 25 do 30 stopni niżej zera, przestrzegają bardzo



Gospoda dla podróżnych na górze św. Bernarda.

ściśle, aby wychodzić z domu w obuwiu jaknajszerszem, w ciasnem bowiem odmrozenie nóg jest nieuniknione. W zimie, jakkolwiek byłby stan powietrza, jeden z Ojców schodzi z góry w stronę Martigny, drugi spuszcza się w stronę Aost; niekiedy towarzyszą im służący, lecz zawsze wychodzą z psami. Są to mocne zwierzęta, przyodziane na zimę w sierść długą i twardą, którą tracą z wiosną. Olbrzymie te łagodne i potulne brytany, mają pletwy u tylnych łap, rozdzielne i ruchome. Widziałem ośm tych psów; przechadzają się tam i sam, łaszą się koło podróżnych, biegają za Ojcami, kręcą się około kuchni, kopią dziury w śniegu, wygrzewają się na słońcu poziewając z głuchem warczeniem, albo też odbywają przechadzki na sąsiednie szczyty. Porodziły się i wychowa-

ły w Hospicium, w niem żyją i słyszą codziennie dzwony, a jednak nie oswoiły się z temi przeciągłemi i ostremi dźwiękami. Jak tylko zadzwonią na Mszę św. lub nieszpory, psy gromadzą się, łbami ku sobie skupiają i nozdrza podniósłszy w górę, zaczynają przeraźliwą wrzawę, wyjąc wielkim głosem, a harmider ten wszystkie echa powtarzają.

Bądźcobądź, nieocenione usługi oddają te psiska, gdyż bez ich zadziwiającego instynktu byłoby niepodobieństwem nie zabłądzić w tych górach. Często jeden podmuch wiatru wymiata doliny tam, gdzie dopiero widziano pagórki — bo śnieg podobnie jest ruchomy jak piasek w pustyni.

Jakkolwiek przewrót sprawi burza, pies z góry św. Bernarda nigdy się nie zabłąka wśród śniegów i zawsze dro-

gę znajdzie. Czy to zaspasy toczących się z gór śniegów, czy spadająca z nieba śnieżycą, pies idzie zawsze i niezawodnie powierzchnią tych samych drożyn, któremi gdy śnieg zginie wspinają się muły. O trzy kroki poprzedzając zakonnik, pies staje gdy ten się zatrzyma, nadsłuchuje czy skąd nie dochodzą jakie wołania, na które natychmiast szczekaniem odpowiada.

W tych wycieczkach, gdzie zawsze życie człowieka jest zagrożone, Ojcowie mają z sobą chleb, ser i wino, ale nigdy wódki, która chwilowo wzmacnia sztucznie, lecz następnie denerwuje i niebezpieczne znużenie spowodza.

Według opowiadania zakonników, śmierć w śniegu bardzo jest łagodna; z ociężałości i odrętwienia przechodzi się w senność, a niebawem w sen wieczny. Nieraz się zdarza, że muszą pasować się z wędrowcem, który już kostniejący koniecznie spać się układa, a iść im dalej nie chce. Wówczas unoszą opierającego się, nacierają go śniegiem, aby przywrócić obieg krwi zatrzymany, zmuszają go do napicia się wina z Martigny, które szczególniej dobrze działa. Więcej osłabionych kładą, rozcierają, okrywają, wlewają im wino przemocą.

Niekiedy, ale coraz rzadziej dzięki czujności zakonników, znajdują pod śniegiem trupy biednych wędrowców przydybanych w nocy nawaletem usuwających się śniegów. Składają je w budynku przyległym, w nadziei że może ich kto rozpozna. Ten dom umarłych w czasie mej bytności mieścił 12 ciał znalezionych w ciągu ostatniego roku; zimno tu panujące ochraniało je od zepsucia. Nie mogłem ich widzieć, gdyż ten przybytek śmierci znajdował się jeszcze pod śniegiem.

Szczególniej w marcu i kwietniu niebezpieczne są nasypy usuwających się śniegów. W zimie śnieg suchy rozprasza się, odrywa i na proch rozciera.

Ale gdy ku wiosnie słońce działa silniej, rzecz ma się inaczej. Lawina wilgocią przejęta, w miarę topnienia śniegu, staje się zbitą i ciężką, ogromną usuwa się masą i odrazu zabić może. Spada jak skała, toczy się własnym ciężarem, zagarnia co napotka w drodze, odgłos straszny wydaje, a dopadłszy kresu swojego biegu, w wielkie odłamy się rozpada. Ale jeżeli jest niebezpieczną i nawet niechybną śmiercią grozi osiągnięty taką lawina oderwana ze szczytów, to jednakowoż do pewnego punktu można przewidzieć jej spadnięcie, które w ogóle jest powolne, a poprzedza je odrębny łoskot zdaleka słyszany, i ruch pewien łatwo spostrzedz się dający przez szczególną kłębiistość walących się śniegów. W zimie zaś zazwyczaj spadają one nagłe.

Wielu Ojców przypłaciło już życiem te zapasy z żywiołami! Poginęli w czasie swej bohaterkiej misy. Jeżeli należy się cześć żołnierzom padającym na polu bitwy, cóż powiedzieć o tych bohaterach pokory, którzy swe życie narażają codziennie dla ratowania nieznanomych braci.

Aby zrozumieć przysługi ludzkości oddane przez nich, trzeba wiedzieć że w jednym tylko upłynionym roku, przeszło 20,603 podróżnych przebyło górę św. Bernarda, pomiędzy którymi turystów zaledwie było 2,500. Jakież więc funduszami zdolają zaopatrywać tak wielkie potrzeby? Oto ze składek, z kwest, z dochodów jakie im przynosi wydzierżawienie folwarków, które Hospicium we Włoszech posiada.

Skarbonka u drzwi kościelnych jest przeznaczoną na ofiary podróżnych. Lecz wstyd wyznać, że zwiedzający górę św. Bernarda, a przyjmowani z taką gościnnością przez Ojców, mało co zostawiają na utrzymanie klasztoru.

Właściwie Ojcowie nic nie żądają za swoją gościnę tak bezinteresowną; lecz zważywszy jaki czynią użytek z odbieranych pieniędzy, obracanych na udzielanie pomocy ubogim wędrowcom i ich wyżywienie, i że ci zginęliby z nędzy i zimna bez tej dobroczynnej instytucji, przyznać trzeba, że ofiarność powinna być znaczniejszą.

Trudno mi wyrazić, z jaką uprzejmością i uwagą jeden z Braci zaopatrywał wszystkie moje potrzeby i starał się uprzyjemnić mi pobyt w klasztorze. Był to 30-letni młody człowiek o szerokim czole i oczach wymownych, rozum zdradzających.

Rozmawialiśmy dużo o Genewie, o Faryżu, Jerozolimie, o Rzymie gdzie być pragnie kiedyś, i o wielu bieżących kwestiach które wybornie rozumie. Doskonale muzyk, w rzadkich chwilach wolnych komponuje msze.

Przedstawił mnie przełożonemu swemu, który zrobił mi zaszczyt zaproszenia na obiad konwencki.

Pożywienie mają dobre i posilne: tak być musi, bo w podobnych warunkach życia człowiek prędko niszczeje, jeżeli nie podtrzymuje sił jego zdrowy pokarm.

Chleb mają doskonały z Aost, skąd dwa razy na tydzień świeży zapas donoszą. Gdy okazałem zdziwienie, że w domu nie pieką chleba, przełożony odpowiedział mi z uśmiechem: „Za zimno u nas, ciasto nie mogłoby się wyruszyć”. Można mieć pojęcie o ilości drzewa, potrzebnej dla tak rozległego domu. Muły dowozić a i ludzie na plecach donosić je muszą. Całe sklepienie pod kościołem jest ogromną drwalnią.

Zakonnicy mało używać mogą rozrywek: czasem partya szachów w długie zimowe wieczory, a w lecie gdy słońce roztopi wreszcie śniegi, uprawiają swój mały ogródek, zasłonięty od północy górą o którą jest oparty, a podtrzymywany podmurowaniem z kamieni, starannie naprawianem,

Uprawiają w nim trochę jarzyn, nie dla tego żeby dojrzeć mogły, ale żeby mieć jakąś zieloność przed oczami, lecz teraz jeszcze nie pora wzięcia się do motyki: widzę z mego okna cały ogródek pod śniegiem (10 czerwca). W porze letniej robią także czasem wycieczki ponad jezioro, będące poniżej gospody w kierunku ku Aost. Teraz odgaduję je raczej niż widzę; jest jeszcze zamarznęte i na dwa metry grubo ma śniegu na powierzchni. Tylko ku północy woda sączy się trochę. Tam próbowano ryb nawpuszczać, ale posnęły z zimna. Od strony góry Martwej (Mont-Mort) widzę latające zięby — jak tylko przybędą, zaraz udają się w gościnę do Ojców; ci drzwi im otwierają, a one gnieźdzą się po korytarzach, a gdy zaś zbyt ostry wieje wiatr z północy, ogrzewają się przy ognisku. Jedzą w refektarzu rzucane im przez Ojców okruszyny chleba,

Ptaszeta żyją w jaknajlepszej zgodzie z psami, które wcale nie bronią im przechadzać się po swym szerokim rudym grzbiecie. Przepędziłem w klasztorze 36 godzin drząc z zimna pod kołdrą, na słońcu i wszędzie, a przytem walcząc jeszcze ciągle z nieznosną sennością.

Człowiek z równin, i miast nie może się pogodzić z tem rozrzedzonym powietrzem.

Opuściłem więc bez żalu to miejsce wydziedziczone od przyrody, ale nie bez uczuć wdzięczności za doznaną gościnność.

Pomimo dużych rozmiarów klasztoru oraz przyległych mu stajen i magazynów, gospoda dziś jest zaciasną dla tej ilości podróżnych, których liczba dziennie czasami 500 — 600 osób wynosi.

Ojcowie są zmuszeni do wystawienia nowego gościnnego gmachu. Pójdą po całym świecie zbierać grosze dla biednych wędrowców, którym w pomoc przychodzą. Nie należy wątpić iż każdy kraj zechce przyjść z pomocą klasztorowi. Następcy św. Bernarda z Mentony zobaczą, jak poświęcenie ich ocenionem jest, gdy znaczne ofiary wosypią się w ich ręce i dozwolą im pomnożyć jeszcze dobre dla bliźnich uczynki.

WŁASNYCH SIŁACH.

POWIEŚĆ

p. Bronisławę Porawską.

(Dalszy ciąg).

Muszę też babuni donieść, a więcej wiadomość ta dla Stefana coprawda, że kilka dni temu spotkałem się z Witoldem. Jak wam wiadomo, byliśmy dla siebie zawsze obcy i obojętni, bo usiłowania moje aby pozyskać jego życzliwość.

musiały być zawsze w pewnych granicach umiarkowania. Ubo-
gi, nie mogłem się przecie narzucać zbyt, tembardziej
że Witold wskutek otrzymanej sukcesy po stryju, milionowy
posiada majątek, co dumnej jego naturze schlebia niemało.
Była chwila, żeśmy się zawahali z przywitaniem, żaden z nas
podobno nie chciał być pierwszym, ale minęło to wszystko;
jednocześnie prawie wyciągnęliśmy dłonie do powitania. Roz-
mawialiśmy chwilę i spostrzegłem, że Witold był nieco uprzej-
miejszy niżeli zwykle. Zdaje mi się, że przyjdzie chwila
zmiany i dla niego; niekoniecznie pragnę tego dla siebie, ale
chciałbym aby ludzie szanowali ludzi, a nie złotego cielca. Ja
Witolda cenię dla jego zamiłowania nauki, którą pragnie po-
siadać dla siebie. Dziwna mieszanina! próżny jest co do
błyszczczenia majątkiem, dumny z posiadania takowego, jak-
by to jego było zasługą — a wiedzę i naukę, którą pochłania
z chciwością, kryje jak skąpiec. Zobaczysz Stefanie, że to
z czasem będzie człowiek w całym znaczeniu; niech tylko po-
zna że pieniądź jest środkiem do szczęścia o tyle, o ile nim
dobrze czynić możemy, a nie celem do którego się dąży
wszystkimi środkami, ze względów czysto egoistycznych. A że
on to zrozumie, jestem pewny; nadto kocha naukę, a wiado-
mo że kto raz zaczerpnie z jej skarbow, nie może milować
tak złota, aby się dla niego wyrzekł wszystkich innych, szla-
chetniejszych uczuć. Dziś bawią go jeszcze miliony, ale one
mu nie wystarczą do życia.”

List zawierał dużo jeszcze różnych drobnych szczegó-
łów, które z zajęciem były czytane; wiadomo, że i najmniej-
sza drobnostka interesuje nas, jeżeli takowa odnosi się do uko-
chanych naszych. Wszystko co Jerzy pisał, przedstawiało
rzeczy w pomyślnem świetle, i zdawało się że można być
o niego spokojnym. Uczucie to istotnie odbiło się w uśmie-
chu p. Grzymaliny, która odetchnęła swobodnie, dowiedziaw-
szy się że Jurek zadowolony i jako tako zabezpieczony.

Tymczasem w rzeczywistości, Jerzemu wiele jeszcze,
bardzo wiele brakowało — fundusze jego bowiem wystarczały
zaledwie na mieszkanie, obiad i szklanekę czystej herbaty ra-
no. Potrzebował książek, przyborów do pisania, światła dla
możności pracowania wieczorami; tak więc wyrachować się
było trudno, tembardziej że potrzebował gwałtownie ubrania
ciepłego przy nadchodzącej dość szybko zimie. Wprawdzie
i tu Jerzy wierny był swej zasadzie, że żadna praca ujmę nie
przynosi: czyścił więc sobie sam ubranie i obuwie, przynosił
wodę potrzebną, aby nie płacić za usługę, bo na to nie miał.

Koledzy dziwili się jego umiejętności utrzymywania
w porządku w najdrobniejszej rzeczy, na co on im odpowiadał
zwykle ze szczerą prostotą:

— Przywykłem od dziecka do wszelkiej pracy domowej,
nie mieliśmy nigdy służącej, nigdy, jak zapamiętam.

— A wyglądasz jak hrabia — rzekł któryś spoglądając
na dorodną postać młodzieńca.

— I grzeczność ma pańską — dorzucił drugi, znany ze
swej rubaszości.

— Chcecież abym się z wami kłócił? — mówił wtedy Je-
rzy z uśmiechem, a raz dodał w objaśnieniu. — Chowałem
się sam u babki dobrej i łagodnej jak anioł, nie miałem więc
sposobności do burzliwych wybuchów wieku dzieciennego. To-
warzystwa prawie nigdy nie miałem, z klasy wracałem aby po-
służyć co w domu, potem się uczyłem, czasami wychodziliśmy
z babką na przechadzkę, i ot, czasy mego dzieciństwa.

— To prawda, chowałeś się widzę jak panienka — żar-
towano, o co się Jerzy nie obrażał jednakże.

Ale układowi temu o delikatnych formach, tej uprzej-
mej grzeczności bez uniżoności jednak i przesady, zawdzięczał
może Jerzy to, że darzyli go życzliwością wszyscy ci z który-
mi miał stosunki.

O pracę starał się usilnie, i póty szukał, dowiadywał
się, aż w parę miesięcy znalazł i drugą korepetycję, a że pod-
jęte obowiązki spełniał gorliwie, kto go dostał do domu, nie
rad był roztawać się z nim prędko.

Rok przy pracy zbiegł szybko, ale Jerzy zmizerniał
i zeszczipłał — ze strachem więc myślał jak się pokaże babce,
dla której będzie to wielkiem zmartwieniem.

Tymczasem p. Grzymalina rachowała dni i godziny
niemal do przyjazdu wnuka, opowiadając chętnie zawsze słu-
chającej Reni, jaki to z Jurka wyrósł pewnie mężczyzna silny
i tęgi jak olbrzym. Rozpłakała się więc staruszka rzewnymi
łzami, ujrzawszy wymizerowanego wnuka — i w pierwszej chwili
rozżalenia, powiedziała że go już nie puści od siebie.

— Zgubiłam cię synku, namawiając koniecznie na ten
wyjazd; ty się tam pracą zamęczysz, gdy ja pilnować cię nie
mogę.

— Już o rok bliżej jestem celu, babuniu — odpowiedział cał-
jąc jej ręce — nie obawiaj się, przetrwam ja to, jestem zdrów
zupełnie, tylko trochę zmizerniałem.

— Wiesz Jurku — rzekł Stefan dnia jednego, gdy byli
sami — mamy pewien wyrzut sumienia biorąc pieniądze od
twojej babki, bo nietylko że Renia wcale już nieźle mówi po
francusku, ale p. Grzymalina i młodsze dzieci uczy. Chciałem
cię prosić, abyś nas zwolnił od przyjmowania opłaty za jej
utrzymanie.

— Nie Stefanie — rzekł Jerzy żywo — moja babka nie
może dziś przyjmować obowiązku, jest w tym wieku, że jej
wypoczynek a nie praca się należy. Dziś uczy twe rodzeństwo
z przyjemnością, sama w tem doznając rozrywki, ale obowią-
zek to rzecz inna, to już nie dla niej.

— Cóż znów za obowiązek? — zaczął Stefan.

Ale Jerzy mu przerwał.

— Daruj Stefanie, to być nie może, w mojem przekona-
niu i tak zaciągam dług wdzięczności, ale tylko względem
ciebie przyjąć to mogłem.

Istotnie, p. Grzymalina dając tylko 120 rubli na utrzy-
manie swoje, czuła się w obowiązku dopełniać to pracę; zacna
niewiasta nie chciała przyjmować jałmużny, mogąc w jakikol-
wiek sposób pracować. Wprawdzie nigdy nie pomyślała aby
jej się ta umiejętność przydała kiedykolwiek, a dziś, w sędzi-
wym wieku, jakże się czuła zadowoloną wewnątrz, że umiała
coś takiego, czego drugich uczyć mogła! Nie była to nauka
systematyczna, ale dziatwa mówiła już między sobą po fran-
cuszku, czem była niezmiernie uszczęśliwioną, a matka ich nie
wiedziała już jak dogodzić staruszce, czując nawet dla niej
wdzięczność za podjętą dobrowolnie pracę nad dziećmi.

Jakże krótkimi zdawały się wakacje, gdy nareszcie
Jerzy oznajmił, że za dni kilka musi wyjechać. Stał się tak
bardzo potrzebny wszystkim, że powstał wielki smutek w do-
mu państwa Doliwów. P. Grzymalina znów przechodziła
wewnętrzny walkę z ogarniającym ją smutkiem, bliskim roz-
paczki prawie. Mówiła sobie że nie doczeka na pewno powro-
tu Jurka, albo że on będzie tam chorował, zmizernieje jesz-
cze bardziej, a na samą tę myśl dusza w niej zamierała z żalu.
Zniósła to rozłączenie na rok znów cały, który tu we
łzach i tęsknocie spędzić będzie, ale była w pierwszych dniach
tak milczącą i smutną, że nawet Renia nie śmiała zaczepiać
jej rozmową.

Jerzy tymczasem wrócił do ciężkiej pracy, która istotnie
wyczerpywała jego siły, ale wyczerpać ich nie mogła, bo je
silna wola młodzieńca podtrzymywała i umacniała. Ani na
chwilę nie wątpił, ani na chwilę się nie zniechęcał; szedł do
wytkniętego celu z odwagą, wierząc w przyszłość, a wiara ta
dźwigała biedaka.

Gdy odmawiał sobie jakiej przyjemności, koledzy nazy-
wali go dziwakiem i odludkiem, lecz on z największym spoko-
jem odpowiadał:

— Cóż chcecie bracia abym robił, nie mając na to pie-
niędzy? Pożyczać nie mogę, bo dziś nie mam jeszcze pewno-
ści oddania. Dług zaciągnięty bez ostatecznej potrzeby, to
ciężar na sumieniu i plama na honorze. Takie jest moje
przekonanie; mamże kłamać sam sobie?

— Oddasz potem. Niejeden z nas przecie tak robi —
rzekł któryś — czy podobna wyrzec się teatru lub balu, dla
tego żeby nie pożyczać, kiedy przecie mam najszczerzą in-
tencję oddać w przyszłości?

— Wolę w przyszłości uczęszczać do teatru i na bale
za gotówkę, aniżeli w przyszłości płacić za minione przyje-
mności — odpowiadał Jerzy niewzruszony.

— Stary moralista z ciebie, a nudziarz niezdolny, fe! Jurku, niema w tobie młodości — odpowiadano mu wzruszając ramionami.

Oswojono się jednak z tą jego niewzruszonością zasad i stałością charakteru, i zaprzestano żartować.

Pomimo tego, był on towarzyszem wesołym i chętnym do każdej zabawy, byle tylko ta nie przechodziła możności jego wydatków. Uczynny dla kolegów, gdy widział prawdziwie potrzebującego pomocy, śpieszył z nią bez namysłu, oddając choćby grosz ostatni. Dla siebie surowy, nie umiał być takim dla drugich; dla siebie oszczędny, umiał być wyrozumiałym dla innych.

Posiadał też miłość kolegów i szacunek; wiedzieli że w każdej chwili rachować na niego mogą.

Z Witoldem spotykali się często u kolegów, do większej jednak zażyłości między nimi przyjść jakoś nie mogli. I nic dziwnego: Witold mimo nauki, wiódł życie wesołe, lubił teatr, operę, uczęszczał więc na nie o ile mu tylko czas pozwalał. Organizował w karnawale zabawy i do siebie zapraszał kolegów, wyprawiając im to kolacye, to podwieczorki, a że nie był skąpym, owszem w przyjęciu może nawet zanadto rozrzutnym, miał więc dużo przyjaciół i zwolenników. W wyborze towarzyszy nie był teraz tak wybrednym i dumnym jak dawniej; z Jerzym tylko, byli zawsze na stopie chłodnej, choć nie stornili od siebie.

(d. c. u.)

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Konwalii dla Iskierki z pod Lublina.

Z następujących sylab: *á—an—an—da—dzik—dy—e—czyj—fu—fez—ga—gi—kan—ka—kar—i—li—li—i—i—lek—nau—ne—no—na—rib—ros—rent—ry—ta—ver—si—strya—ti—ta—Ye—or—pol—pa—pol—pool—pia—zas—* ułożyć wyrazy, których znaczenie: 1. Najwyższa góra na wyspie Nipon. 2. Kolonia dawnej Grecyi. 3. Port nad m. Bal. przy ujściu Dżwiny. 4. Jezioro w Nigrycyi. 5. Dwie samogłoski. 6. Miasto w połud. Włoszech. 7. Miasteczko w gubernii Lubel. 8. Starożytna nazwa m. portow. na Peloponezie. 9. Zwierzę z rzędu gruboskórych. 10. Miasto prowadzące zacięty bój z Rzymem. 11. Wyspa należąca do Grecyi z grota stalaktytową. 12. Kolonia dawnej Grecyi. 13. Grupa wysp na północ Szkocyi. 14. Port w Anglii. 15. Rzeka w Chinach na granicy Syberyi. 16. Zaimek pytający. 17. Terytorium Stanów Zjednoczonych, zamieszkałe przez przesiedlonych Indusów. 18. Poboczna rzeka Uralu. 19. Półwysp na morzu Adryatyckiem. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół i końcowe w tym samym kierunku, utworzą połączone spójnikiem imiona i przydomki króla i królowej Hiszpanii z XV wieku.

ZADANIE KONIKOWE.

je	dy	du	po	cy
w każ	dej	czu	kie	tru
go	my	je	pra	nie
mu	dej	chęt	Mniej	my

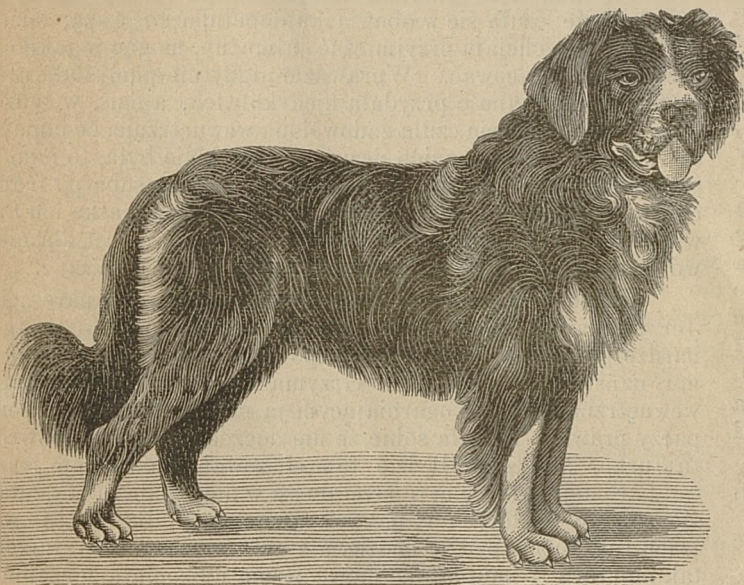
ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Szarady: *A r m a t a.*

Łamigłówki sylabowej:

1. Sel. — 2. Erymie. — 3. Ticino. — 4. Linkoln. — 5. Abi. — 6. Izmid. — 7. Focyda. — 8. Elis.

Efialtes — Leonidas.



Pies z góry św. Bernarda.

PYTANIE.

Jaka jest największa ryba na świecie?

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: List Józia (z drzew.) — Białe lilie, wiersz p. Mir. — Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego. — Gospoda dla pielgrzymów na górze św. Bernarda (drzew.) — O własnych siłach, p. Bronisławę Porawską. — Pytanie — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Cynamon (z drzew.) — Przyrzeczenie, komedyjka. — Słuszna kara p. Maryę Weryho. — Odwaga i zuchwalstwo p. M. P. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzyuka do listów. **Dodatek książkowy:** Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.



Gałązka cynamonowego drzewa.

CYNAMON.

Pachnące ciemno orzechowe rurki kory drzewnej, zwane cynamonem, które utłuczone z cukrem, stanowią przyprawę do niektórych ciast i legumin, znane są powszechnie. Ale nie wszyscy wiedzą, że drzewo, czyli laur cynamonowy, którego gałązkę okrytą liśćmi, kwiatem i owocem w kształcie ziarn grochu, przedstawia rycina nasza, rośnie bardzo daleko bo w innych częściach świata, a mianowicie w Azji, gdzie najlepsze jego rodzaje znaleźć można w Indyach, Chinach, i na wyspie Ceylon. Suszone owoce cynamonowe, mają podobno smak bardzo dobry, ale ich do nas nie sprowadzają; z liści robi się olejek mający różne użytki, ale kora stanowi główny przedmiot bardzo rozległego handlu. Dla tego też zakładają plantacje cynamonowe we wszystkich miejscowościach, które się po temu nadają—a liczni robotnicy dwa razy do roku (na wiosnę i na jesieni) obcinają gałązki, z których zdejmują korę aby ją przygotować odpowiednio i wysłać w pakach do Anglii, skąd głównie rozchodzi się po Europie. Najlepszego cynamonu wszakże nie wiele zebrać można, stanowi go bowiem najcieńsza i najdelikatniejsza kora niektórych drzew. Ten który najczęściej pojawia się w handlu, odznacza się korą grubą i nosi wła-

ściwe mu nazwisko kassyi. Ani smak ani zapach kassyi nie jest tak wykwintny jak prawdziwego cynamonu, którego pospolicie nadają jej nazwę; jest też o połowę tańszą. W średnich wiekach cynamon znany był w Europie jedynie na dworach królów i możnych panów, którzy go otrzymywali lub przesyłali sobie w podarku, następnie zaś w miarę jak się rozwijał handel grecki, przy smak ten stał się powszedniejszym. Dziś cynamon w sklepie można dostać na grany. Jest wszakże z pewnością gorszy jego rodzaj; kassya, o której wspominaliśmy wyżej, zwana cynamonem.

PRZYRZECZENIE.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

(dla Grażynki i Tereni W.)

OSOBY.

LUCIA
MARYNKA } Rodzeństwo.
JANEK
STEFICIO
KATARZYNA, stara gospodyni.

SCENA I.

(Lucia, Marynia, Janek, Stefcio, siedzą przy stole i piszą, Katarzyna szyje siedząc przy piecu).

JANEK (spogląda na Katarzynę i trąca Lucię w łokieć).
Luciu!

LUCIA. Czego mię trącasz? przez ciebie będę miała zły stopień z kaligrafii. Patrz coś zrobił, do czego podobna ta litera! Ach, ty!...

KATARZYNA. No, no, dzieci, proszę się nie sprzeczać; siedzieć spokojnie i uczyć się.

JANEK. Ta Lucia wiecznie musi hałasu narobić. Wielkie rzeczy że cię trąciłem! Chciałem ci coś ciekawego powiedzieć.

LUCIA. To mów prędzej.

MANIA (przestaje pisać). Co, co, powiedz?

STEFICIO. Mów, mów, Janku!

JANEK. Oho! zaraz, w tej chwili; teraz wam wcale nie powiem, możecie sobie poczekać.

LUCIA (rozgniewana). To nie mów i nie nudź mię na próżno, nie jestem wcale ciekawą,

KATARZYNA. Dzieci, proszę się uczyć!

MANIA. E, Katarzyna niech lepiej patrzy swojej roboty, a do nas się nie wtrąca.

KATARZYNA. To wcale nie ładnie, żeby panienka w ten sposób się odzywała; ja muszę się do was wtrącać, bo mama mi tu kazała siedzieć dlatego, żebym pilnowała, byście się uczyli a nie kłócili. A u was to nic nadzwyczajnego o jaką drobnostkę się posprzeczać.

STEFICIO. No, moja Katarzyno, już proszę nie gniewać się na nas, przecież musimy też czasem się odezwać, bo siedząc ciągle tak cicho, zapomnielibyśmy mówić.

KATARZYNA. O, co o to, to się wcale nie boję! Nie zapomnicie wy mówić nigdy, ani chwilki nie możecie cicho siedzieć, chociaż i przy nauce.

JANEK. Widzi Katarzyna, to potrzebne jest do nauki, inaczej nic nie umielibyśmy.

KATARZYNA. Ho, ho, już ja tam temu nie wierzę, żeby sprzeczki były na coś potrzebne.

LUCIA. Ale co Katarzyna ciągle nam mówi o kłótniach? Nam ani nawet przez myśl nie przeszło, żeby się sprzeczać, my sobie na głos lekcyę przepowiadaliśmy.

KATARZYNA. Aha! No, tak to co innego, uczcie się, uczcie moje robaczki, ja wam nie przeszkadzam.

MANIA. Właśnie, że nam Katarzyna ciągle przeszkadza; przez to nie będziemy umieli lekcyj. Niech lepiej Katarzyna idzie sobie do jakiej roboty, my sami prędzej się nauczymy.

KATARZYNA. Co? ja wam przeszkadzam? już to, to nieprawda, siedzę sobie cichutko i szyję.

STEFICIO. A poco Katarzyna ciągle gada i gada? my się nic uczyć nie możemy.

KATARZYNA. A to uczcie się i siedźcie cicho, to się nie odezwę.

JANEK. Żeby ta Katarzyna sobie poszła, tobym wam powiedział coś ciekawego.

LUCIA. Katarzyno! Mama was woła, prędko idźcie.

KATARZYNA. Idę, idę, zaraz. *(wychodzi)*.

SCENA II.

(Lucia, Marynia, Janek, Stefcio).

MARYNIA. Luciu, czy to naprawdę mama wołała? bo ja nic nie słyszałam.

LUCIA. Jakaś ty zabawna. Poco mama miała wołać? Powiedziałam tak naumyślnie, żeby Katarzyna wyszła, to Janek nam coś powie.

JANEK. Słuchajcie więc. Dzisiaj widziałem, jak Katarzyna chowała do szafy taką pakę orzechów i pełen talerz suchych konfitur.

STEFICIO. Janku, naprawdę widziałeś?

JANEK. Ależ z pewnością i to jeszcze nie wszystko. W szafie stały słoiczki z jakąś galaretką.

MARYNIA. Ach! jakie to wszystko musi być dobre.

LUCIA. Żeby to tak można dostać się do tej szafy, byłby dopiero bal!

STEFICIO. Kiedy ta Katarzyna zawsze klucze nosi przy sobie! żeby też choć raz je gdzie zostawiła!

MARYNIA. Pomyślmy tylko, może nam się uda wyciągnąć jej klucze z kieszeni.

JANEK. „Może”! Nie żadne „może”, tylko musimy klucze wyciągnąć i kwita!

LUCIA. A jak się mama dowie, to będzie bura.

STEFICIO. Poco zaraz mama ma się o tem dowiedzieć? Jak zjemy wszystko, wtenczas klucze napowrót wsuniemy do kieszeni Katarzyny i jutro, gdy Katarzyna zobaczy próżne słoiki, będzie pewną, że to myszy wszystko zjadły.

MARYNIA. Jak to raz pysznie nam się udało z tem wielkiem jabłkiem, które Katarzyna położyła na szafie, żeby dojrzało! Tak ślicznie łyżeczką wyjedliśmy ze środka wszystko, zostawiając tylko łupinkę.

LUCIA. No, o tem to dotychczas jest przekonana, że to myszy zjadły, ale znowu parę słoików galaretki, konfitury z talerza i orzechy, to za dużo na myszy! Nie uwierzy temu.

STEFICIO. Prawda, jeszcze orzechy... Przecież mysz nie rozgryzie tak łatwo, to tylko wiewiórka potrafi.

JANEK. Ależ orzechy już są obrane zupełnie, tylko je zjeść.

MARYNIA. O! to wybornie się składa, obrane orzechy łatwo może mysz zjeść.

LUCIA. Pst, pst, idzie Katarzyna *(udając zajętych pisaniem, wchodzi Katarzyna)*.

(d. n.)

SŁUSZNA KARA.

Tadzio i Kazio byli braćmi. Tadzio miał lat siedm, Kazio sześć. Mieszkali na wsi w małym parterowym domku. Przy nim był ogródek ładnymi sztachetami otoczony, a żeby jakie zwierzę z podwórka nie weszło i nie poniszczyło kwiatków i grządek.

Po drugiej stronie domku stały dwa grube drzewa, a przy nich ławeczka. Na niej często siadywały dzieci: czytały, rysowały i oglądały obrazki. Ale nie zawsze tak spokojnie było: częściej woleli bawić się i biegać.

Jakie koncepty do głowy im nie przychodziły! Bawili się w polowanie, w chowanego, w lisa, w konie, w gimnastykę i t. p. gry.

Razu jednego wychodząc z domu po śniadaniu, Kazio powiada do swego brata:

— Wiesz, Tadziu, mam nowy pomysł na zabawę. Ani się domyślasz!

Tadzio próbował zgadywać, ale napróżno.

— No powiedz, mój drogi, może co dobrego?

— Huśtawka — powiada Kazio zadowolony.

— Huśtawka? pyszna rzecz, dawno o niej myślałem.

— Ale z czego ją zrobimy?—pyta Tadzio.

— Wiem z czego — odpowie Kazio — jużem nad tem myślał. Wezmę sznur, przywiążę do tych drzew i będziemy się huśtali.

— Ale skąd sznur wziąć—pytał Tadzio oglądając się wokoło.

— Chodźmy szukać, może gdzie znajdziemy.

Poszli chłopcy w kierunku drogi, oglądając się na wszystkie strony za sznurem.

— Widzę już, widzę — zawołał Tadzio i poleciał co tchu naprzód, Kazio za nim i za chwilę już był przy bracie.

Sznur leżał w błocie, ale chłopcy na to nie zważali. Tadzio pierwszy wlaźł po kostki do wody i trzymał już brudny szpagat w ręku.

— Oddaj mnie — powiada zdyszany Kazio — to ja będę zawieszał huśtawkę.

— Ja też potrafię zawiesić, bom znalazł sznur.

— Jam też go znalazł; oddaj że mi go — wołał zniecierpliwiony chłopiec i chwycił za drugi koniec sznura.

— Oho! zaraz ci dam — zawołał Tadzio — spróbuj wyrwać!

I zaczęli jeden drugiemu wydzierać. Długo się tak mocowali, aż nareszcie stary sznur nie wytrzymał próby i zerwał się, a obaj chłopcy wpadli w błoto.

Smutny był koniec! Całe ubranie mieli mokre i zawałane. Z twarzami czerwonymi od zmęczenia i z kawałkiem sznura w ręku musieli wrócić do domu.

Czy żalowali, że byli tacy niegrzeczni, czy się wstydzili rodziców, czy rozpamiętywali doznany zawód — nie wiadomo, bo nic do siebie nie mówili. Wrócili z głowami spuszczone i zażawionymi oczyma.

Maryja Weryho.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

Mówiąc to puścił Jasia, ale nie zapomniał dać mu na pożegnanie kilka dobrych szturchańców. Julek i ja nie bardzo byliśmy dumni z naszego przyjaciela, chociaż mnie się zdawało, że pułkownik za surowo Jasia sądzi i że koniec końców życie jego jest bardzo miłe i pełne przygód. Ale nadto byłem zajęty powożeniem, ażebym mógł się dłużej nad czem zastanowić.

Ogromnie mnie gniewało, że jakeśmy się tylko zbliżyli do Meddlingtonu, albo musieli wymijać inny powóz, pułkownik mi zawsze odbierał lejce; a czasami, kiedy szpak przez kilka dni nic nie robił i był ostrzejszy, to mi wcale nie pozwalał powozić. „Postępuje ze mną jak z małym dzieckiem”, myślałem rozgniewany. Nieraz przecież widziałem chłopców wiejskich, ani trochę nie większych odemnie, którzy powozili parą a nawet czwórką koni; sami trzymali bat w ręku i klaskali nim nad końmi, a ogromne te zwierzęta słuchały ich jak dorosłych. Wieczorem gdy prowadzili konie do stawu, musieli wylazic na wrota i płoty, żeby się wygramolić na grzbiet koński, a nikt im przecie nie powtarzał cochwila: „Uważaj! ostrożnie żebyś nie przewrócił! oddaj mi lejce”. Szpak był o wiele mniejszy od koni roboczych, a że prędko biegł, tem przyjemniej było nim powozić. Czasami marzyłem, że kiedyś pułkownik będzie zajęty, wtedy zawołał mnie i powie: „Tomku, już umiesz dobrze powozić, każ założyć szpaka i jedź do Meddlingtonu, bo ja mam dziś co innego do roboty”. Ale to marzenie nigdy się nie urzeczywistniło, chociaż jednego dnia powróciłem do domu bez pułkownika i to w sposób zupełnie niespodziewany.

Było to we wtorek: pamiętam dlatego, że pani Blossom robiła masło; ja się jej przypatrywałem, a we wtorki tylko na fermie robiono masło. Julka noga już prawie nie bolała, ale męczyło go długie chodzenie, to też nie oddalaliśmy się bardzo od domu. Właśnie pani Blossom utoczyła śliczną oseteczkę masła dla mnie i dla Julka, kiedy pułkownik zajechał i powiedział że nas

weźmie ze sobą. Naturalnie przystaliśmy z radością. Gdy wsiedliśmy do wózka, pułkownik rzekł do nas:

— No, moje chłopaki, mam pilny interes w Meddlingtonie, ale niedługo tam zabawimy, a z powrotem powiozę was inną drogą, żebyście zobaczyli nowe budki dla psów myśliwskich.

Przy samym wjeździe do Meddlingtonu jest niewielki hotel pod „Markizem Grauby”, a trochę dalej stoi kilka domów wśród ślicznie utrzymanych ogródków. Przed jednym z nich zatrzymał się pułkownik, zawrócił konia i oddał mi lejce, mówiąc że szpak będzie stał spokojnie byleśmy go nie drażnili, i że za pięć minut powróci. Usadowiłem się na kozle, wziętem lejce w jedną, bicz w drugą rękę, przybrałem minę bardzo poważną, żeby przechodnie myśleli że to ja sam powożę; Julek siedział na tylnem siedzeniu, zwrócony do mnie plecami.

Z początku zachowywaliśmy się spokojnie i szpak się nie ruszał, tylko od czasu do czasu kiwał głową, żeby odpędzić natrętne muchy. Wkrótce jednak znudziła mi się bezczynność i powiedziałem do Julka.

— Wiesz co? Jeszcze się szpak przeiębi, bo się wcale nie rusza. Dzień był upalny, lipcowy, i doprawdy niepotrzebnie się obawiałem o zdrowie konia.—A gdyby go tak trochę przejechać?

— Nie — rzekł stanowczo Julek — pułkownik niebawem przyjdzie.

— To dobrze, a tymczasem szpak może zachorować; należałoby choć trochę stępa jeździć tam i napowrót.

— Ale gdzież tam! — zawołał Julek już naprawdę przestraszony — wiesz przecie że nie potrafisz zawrócić.

— Potrafię, co w tem trudnego? nie jestem małym dzieckiem, a szpak taki spokojny. Trzeba tylko pociągnąć lejce w jedną stronę i koniec.

— Nie rób tego Tomku, pułkownik będzie się gniewał.

— Tak się tobie zdaje — odpowiedziałem obojętnie, ale nie popędzałem konia, tylko ku wielkiemu przerażeniu Julka zacząłem klaskać z bata, a szpak parsknął i wyrzucił głowę.

— Czy wiesz Julek, jak pułkownik spędza muchę z uszu szpaka?

Podniosłem bicz i uderzyłem konia mocniej niżeli chciałem.

Julek krzyknął, mnie się zdawało że się wszystko koło mnie mięsza i kręci, bo szpak cofnął się jak gdyby chciał rozbić powóz, a potem puścił się szalonego galopa.

Jak przez sen widzę pułkownika, który w tej chwili wybiegł z domu bez kapelusza, i kilku przechodniów cofających się ze strachem. Pył nas otaczał, pędziliśmy z niezmierną szybkością, a biedny Julek krzyczał z całej siły.

— Trzymaj się mocno — zawołałem — nie zeskakuj, trzymaj się mocno!

Wtedy on zamilkł, tylko obiema rękami chwycił się za poręcz powozu, a ja oparłem się nogami o dno kozła i ciągnąłem lejce tak mocno, że aż dłoni zupełnie nie czułem. Jakże się teraz wydałem sobie małym i bezsilnym, patrząc na tego konia, któremu powóz i lejce ani

trochę w biegu nie przeszkadzały. Widziałem jak się ludzie zatrzymywali i patrzyli na nas, jak woźnice nam z drogi zjeżdżali, jak powozik pełen przerażonych pa-nien wjechał do rowu, żeby nas ominąć; wszystko to widziałem, a podczas gdy cała moja uwaga i siła były zwrócone na konia, ileż to myśli przelatywało mi przez głowę.

Myślałem o ojcu i matce, o pułkowniku i pani Blossom, o dwóch małych osełkach masła, zastanawia-łem się kto je dostanie, jeżeli żywi nie wrócimy do domu i co ludzie o nas powiedzą.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Ewa R.

Z następujących sylab: O—dan—frank—kam—rał—ro—pesz—furt—stia—skie—u—ułożyć wyrazy, których początkowe i końcowe litery czytane z góryjną dół, utworzą nazwy dwóch wysp należących do Grecyi. 1. Zatoka morza Karaibskiego. 2. Miasto we Włoszech przy ujściu Tybru. 3. Rzeka we Francyi. 4. Miasto fabryczne i handlowe nad Menem. 5. Góry odgraniczające dwie części świata.

ZADANIE KONIKOWE.

po	nie	to	Kto
bre	za	wie	ma
dzi	od	dzi	nad

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go.

Szarady: Na — po — le — on.

Łamigłównki kwadratowej:

- A. B y l i c a
- B. t R z e c i
- C. d r Z e w o
- D. r a d O ś ć
- E. m i m o Z a
- F. m r ó w k A

Skrzynka do listów.

Zabce nadobrzańskiej. Przesłane nam rośliny znajdują się w tak smutnym stanie, że trudno o nich coś pewnego powiedzieć. Kwiaty najlepiej jest rozpoznawać świeże, gdy je dokładnie ze wszystkich stron obejrzać można. Żeby zasuszone mogły nam przynieść naukowy pożytek, trzeba umiejętności i wprawy, ale

przy dobrych chęciach łatwo je nabyć. Wybornym w tym celu pod-ręcznikiem może być książka ś. p. Maryi Julii Zaleskiej p. t. „Obraz świata roślinnego”; w niej bowiem oprócz wielu ciekawych wiadomości o roślinach, są też wskazówki jak trzeba układać zielnik, a na końcu znajduje się klucz do rozpoznawania roślin.

Gdy rośliny o które **Koch-hal** pyta, okwitną, przestaje się je podlewać, a na wiosnę wyjmuje się cebulki z doniczek i przesadza do gruntu. Tylko kłącza konwalii żadnej już nie mają wartości, i nie odżyją w gruncie.

Kochana i zawsze miła nam **Prawdo**, dlaczegóżby starszki nie miały należeć do świeżo ogłoszonego konkursu? Pytanie zadane przez Redakcyję jest tego rodzaju, że odpowiadać na nie mogą małe dzieci i dorosłe panny.

Ma się rozumieć, **Muszelko**, że wolno.

Szan. p. Sok. Oba listy Sz. Pani razem prawie się zeszyły; jesteśmy więc wytłomaczeni, a serdeczne słowa uznania stanowią najmilsze zadośćuczynienie za wymówkę... niezasłużoną.

Łamigłównki, szarady i zagadki nadesłane nam przez naszych korespondentów, przejrzymy wolnym czasem; dziś odpowiadamy tylko **Pegazowi skrzydlatemu**, że szarada przez niego ułożona jest bardzo dobra... ale nie do druku.

Może by dobrze było nazywać się **Brzozą z naszego gaiku**, bez określenia miejscowości bliżej? Brzozie z każdym rokiem wzrostu przybywa i rozłożystości; może więc i tobie, imienniczko jej, z każdym konkursem powodzenia będzie przybywać. I nam także sprawia szczerą przyjemność, gdy pochwałą lub nagrodą wyróżnić kogo możemy.

Wacławowi M. rs. 1, **Maryi K.** rs. 1 kop. 75 oddane wedle rozporządzenia, przyjęto z wdzięcznością.

Kochana **Truskaweczko!** Roztrzepanie nie jest grzechem i nie uważamy ci go wcale za winę. Dlatego tylko prosimy kochanych naszych czytelników o umieszczanie liścików na osobnych karteczkach, że ułatwia to nam zaprowadzenie ładu wśród niezliczonych karteczek, zapelniających szuflady redakcyjnego stołu.

Gospośi taty wysyłamy już **Wieczory**. Dzięki Bogu, że choroba, która zaniepokoiła miłą **Gospośię**, minęła szczęśliwie.

Wiara z O. nadesłała nam łamigłównkę dobrą, lecz nie nadającą się do druku. Może ułoży inną? Chętnie ją umieścimy.

Od **L. S.** z **Kai.** otrzymaliśmy dobre rozwiązanie szarady, a od **Salci, Ernusi** i braciszka **Olesia**, oraz od **Salci, Reginki** i **Guci**, rozwiązania łamigłównki sylabowej. Czy to jedna i ta sama **Salcia** dwa razy zgadła jedną i tę samą łamigłównkę?

Cieszy nas bardzo wiadomość, że **Iza Kr.** zadowolona jest bardzo z nagrody, najmilszą dla nas bowiem jest rzeczą sprawić przyjemność kochanym naszym czytelnikom. Do konkursu bardzo zapraszamy.

Może poznamy kochaną **Medunkę**, skoro do Warszawy przybywa? Dawna i to wierna korespondentka nasza, miło nam będzie powitać ją w Redakcyi.

Mile również witamy nową korespondentkę, **Izabelkę K.** Pseudonymu **Viola** używa już inna panienka; dlaczegoby nie obrać sobie, np. **Darnina**?

„Stara i wierna” **Brzydotko z nad Tamizy**, ucieszyliśmy się serdecznie na widok twego listu. Któżby miał przywileje jeżeli ich starzy i wierni czytelnicy mieć nie będą? **Wieczory** wysłane; **Tatus** może wysłać opłatę przy dogodniejszej sposobności, rozumiemy to bowiem, że z Kanady do Warszawy nie tak łatwo o okazję.

Myśliwy nadesłał nam bardzo dobrą łamigłównkę, tę z historyi starożytnej; druga nie do druku.

Dąbrówka została wymienioną w sprawozdaniu konkursowym, lecz pod nazwiskiem takim, jakie pod swą pracą podpisała; siostrzyczkę jej prosimy aby stanęła także do konkursu.

Kochanej **Mani R.**, która „się nudziła” bez naszego pisemka spieszymy wysłać je czempredzej, aby zapobiedz nudom, nad które nic niema gorszego.